

Paweł Wakuła

BJØRN

Syn burzy



Paweł Wakuła
Bjørn – syn burzy

© by Paweł Wakuła
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:
Marcin Minor

Korekta i skład:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska,
Aleksandra Różanek-Andrzejczak

Wydanie I

ISBN 978-83-7672-644-1

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwo**literatura**.pl

Prolog

Czarną zasłonę nocy rozdarł pazur błyskawicy, a po chwili rozległ się ogłuszający grzmot. Gdzieś w oddali zabrzmiał inny, słabszy, jakby przedrzeźniając starszego brata, a potem cała seria rozbłysków przeorała niebo, sprawiając, że na moment zrobiło się widno jak w dzień.

Stara Urdhr – Przeszłość zadarła głowę, zupełnie jakby mogła ujrzeć to niezwykle widowisko swoimi zakrytymi bielmem oczami.

– Thor znowu się gniewa... – powiedziała chrapliwym głosem, nawijając na wrzeczono świetlistą nici. – Władca piorunów musi bardzo cierpieć... Czyżby wciąż odczuwał żal po stracie swego nieodżałowanego brata Baldura? A może wspomina, jak podle oszukał go olbrzym Skrymir podczas gościny w mroźnej krainie Utgard? Nie jest dobrze kpić z boga obdarzonego tak wielką mocą...

Norny – Szepczące, boginie przeznaczenia – siedziały u podnóża olbrzymiego jesionu Yggdrasil – drzewa światów i przędły nici ludzkiego żywota. Ponad ich głowami wisiały trzy księżycy, z których jednego przybywało, drugi był w pełni, a trzeci właśnie zmieniał się w cienki sierp.

Werdhandi – Teraźniejszość, piękna kobieta w najlepszych latach, dojrzała do miłości i rodzenia dzieci, zaczerpnęła wody z mrocznego źródła Urd i podlała najbliższy korzeń jesionu, ten, który sięgał aż do Asgardu – krainy bogów. Takie było

zadanie Norn od zarania świata, i takie miało być aż po jego ostatni dzień, gdy zapieją trzy koguty, przeraźliwie zawyje pies Garm, a na tęczowym moście zadudnią stopy olbrzymów i nastanie Ragnarök – zmierzch bogów.

– Ten odległy grzmot to oznaka wielkiej burzy w Midgardzie, krainie ludzi – zauważyła Werdhandi. – Czyżby właśnie tam miało wydarzyć się coś niezwykłego?

Dziewczęca Skuld – Przyszłość potrząsnęła bujnymi lokami.

– Ja pierwsza wiedziałabym coś o tym! Nic, co ma się wydarzyć w światach ludzi, olbrzymów, zmarłych czy bogów nie ujdzie mym oczom. Przyszłość nie ma przede mną tajemnic!

Werdhandi uśmiechnęła się pobłaźliwie. Młodzi zawsze byli tacy sami, zdawało im się, że pozjadali wszystkie rozumy.

Nagle Skuld wydała stłumiony okrzyk:

– Siostry, spójrzcie! Widziałyście już coś podobnego?

Urdhr zbliżyła swoje niewidzące oczy do kądzieli dziewczyny i wciągnęła powietrze, obwąchując kilka splecionych ze sobą złotych nici.

– To znak, że w Midgardzie właśnie narodził się śmiertelnik, którego dola na dobre i na złe połączyła się z losem wielkich królów i potężnej królowej. Będzie mu dane życie pełne przygód, łaska bogów i podziw śmiertelników... Zobaczycie cuda tego świata, zazna miłości, przyjaźni i zdrady, niejedną raz zanurzy swój miecz w krwi wrogów, jak przystało na bohatera, który po śmierci ma zasiąść w Walhalli u boku Odyna... Lecz nim nadejdzie ten dzień, ty, Skuld, będziesz musiała przeciąć splecione nici i nigdy nie będziesz wiedziała, kogo pozbawiasz w ten sposób życia!

Deszcz przybrał na sile, po pniu Yggdrasila zbiegła wieiórka Ratatosk, a mieszkający na jego czubku orzeł Vedrfofnir zatrzepotał skrzydłami. Tak się wszystko zaczęło...

O tym, jak diabeł zawitał na Świętą Wyspę

Brat Anzelm brodził w płytkich wodach otaczających Świętą Wyspę. Właśnie trwał odpływ i fale odsłoniły usiane kamieniami dno. Braciszek podkasał czarny sfatygowany habit i ostrożnie kroczył na swych chudych patykowatych nogach, pilnie wypatrując przyczepionych do skał małżów.

Czasem przystawał, wyciągał z wiszącej u pasa sakwy młotek i odłupywał smakowicie wyglądającego omułka albo ostrygę, kiedy indziej nachylał się nad skrawkiem piaszczystej łachy w miejscu, w którym dostrzegł ślad wielkości pensa. Przykłękał na jedno kolano i przy pomocy krótkiego zaostzonego kija wyciągał na powierzchnię ukrytego tam mięczaka w podłużnej brązowej skorupce.

Anzelm wiedział o małżach wszystko, w ogóle wybrzeże Northumbrii nie miało dla niego tajemnic. Urodził się w rodzinie rybaka w Berwick, niedaleko ujścia niepokornej rzeki Tweed, i od wczesnego dzieciństwa pomagał ojcu w połowach i zbieraniu darów morza.

Dobrze pamiętał nabożne milczenie, gdy ich łódź mijała spowitą mgłą Lindisfarne, zwaną Świętą Wyspą, i wznoszące się nad nią ruiny opactwa zbudowanego przez świętego Aidana. W czasach dzieciństwa Anzelma mało kto ośmiał się postawić stopę na jej brzegu. Wieczorami, przy domowych ogniskach, opowiadano sobie o widmowym dzwonie bijącym na popękanej ze starości klasztornej wieży i o duchach wymordowanych

zakonników odprawiających nieszpory* w chłostanych przez fale i wiatr murach. Wiatr wył za oknem, a starzy ludzie bajali o dniu, w którym na widnokregu pojawiły się prostokątne żagle w białe i czerwone pasy. Długie smukłe łodzie ze smoczymi łbami osadzonymi na dziobach przybiły do brzegów Świętej Wyspy, a z nich wyskoczyły diabły. Ich przybycie zapowiedziała wielka burza, podczas której na niebie walczyły ze sobą świetliste bestie z piekła rodem. Anzelm wyprostował się i w zadumie popatrzył w stronę opactwa. Znad klasztornej kuchni unosiła się siwa strużka dymu, znak, że brat Remigiusz szykuje posiłek.

Aż trudno uwierzyć, że od kilku miesięcy sługi Chrystusa znowu mieszkają na Świętej Wyspie... – pomyślał. – Wiele pokoleń temu morscy rabusie wymordowali lub uprowadzili w niewolę jej mieszkańców, obalili ołtarz, zrabowali monstrancję i złoty krzyż, sprofanowali grób świętego Cuthberta...

Mnisi wrócili, ale tylko po to, żeby znowu paść ofiarą piratów. Wreszcie, po kolejnym napadzie, zabrali szczątki pustelnika i przez siedem długich lat tułali się po Anglii, szukając dla siebie i dla relikwii bezpiecznego schronienia. A nie było to łatwe, bo w ciągu następnych lat Normanowie w taki sam sposób jak z Lindisfarne postąpili z opactwami na wyspach Iona i Skelling Michael, klasztorami w Peterborough, Jarrow i Whitby... Zbrakłoby palców u rąk i stóp u wszystkich zakonników w Northumbrii, żeby wyliczyć złupione przez nich kościoły. Tylko nieszczęsne opactwo Fore w Irlandii było niszczone przez barbarzyńców aż dwanaście razy! Zakonnicy uciekli ze swoich siedzib, pozostawiając Domy Boże na łaskę żywiołów. W wirydarzach** miast ziół wyrosły bujne drzewa, a w celach braci zamieszkały dzikie zwierzęta...

* Nieszpory – nabożeństwo sprawowane o zachodzie słońca.

** Wirydarz (łac. *viridarium* – gaj, park) – kwadratowy lub prostokątny ogród znajdujący się na wewnętrznym dziedzińcu klasztoru.

Anzelm z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Lecz oto przyszedł czas, gdy na angielskim tronie zasiadł jeden ze złowrogich najeźdźców. I pomyśleć, że to właśnie on kazał ponownie zamieszkać zakonnikom w opustoszałym Lindisfarne! – Splunął do wody. Najwyraźniej król Knut nie wzbudzał jego sympatii. – Z drugiej strony, nikt tak nie odstrasza morskich rabusiów, jak jeden z nich... – mruknął sam do siebie. – Trzeba przyznać, że odkąd arcybiskup Canterbury Lyfing włożył koronę na skronie tego bandyty, żaden z jego pobratymców nie ośmielił się zaatakować wybrzeży Albionu!

Anzelm wrzucił do wiklinowego kosza ostatniego małża i powoli ruszył w stronę brzegu. Słońce na niebie zawisło tuż nad jego głową, wskazując sekstę*, miał już dosyć mięczaków na postny posiłek dla wszystkich braci, a do tego zbliżała się pora południowej modlitwy. Zresztą woda wokół jego nóg zaczynała niebezpiecznie się podnosić. Anzelm wiele razy widział, jak nieszczęśnicy, którzy zbyt długo zabawili na opuszczonych przez morze piaskach, byli porywani przez spienione fale przyływu. Odnajdywano potem ich ciała wyrzucone na przybrzeżne skały, dziwnie poskręcane, obce, bardziej przypominające szmaciane lalki niż ludzi.

Braciszek jeszcze raz spojrzął na mury opactwa, doskonale stąd widoczne na tle błękitnego nieba, a potem na otwarte morze. Zmrużył oczy i uniośł dłoń, żeby osłonić je przed promieniami słońca. Daleko na horyzoncie ujrzał żagiel... Przyjrzał mu się uważniej. To nie była jedna z łodzi rybackich z okolic Berwick czy Bamburgha... Nagle poczuł, jak – mimo gorącego dnia – po plecach spływa mu zimny pot. Ten statek miał charakterystyczny prostokątny żagiel i Anzelm mimo sporej odległości przysiągłby, że widzi osadzony na jego dziobie smoczy łeb.

* Seksta – w kalendarzu mnichów szósta godzina, licząc od świtu, czyli około dwunastej. Czas głównej modlitwy.

Potykając się i raz po raz padając na wystające z wody kamienie, Anzelm rzucił się w stronę brzegu. Jego kolana zaczerwieniły się od krwi, ale nie zważał na to. Choć z tej odległości nikt w klasztorze nie mógł go usłyszeć, krzyczał ze wszystkich sił:

– Wikingowie! Na rany Chrystusa! Wikingowie nadchodzą!

W cichym zazwyczaj opactwie Lindisfarne panowało niezwykle poruszenie – nie co dzień przybywała do niego łódź z takim gościem na pokładzie. Królewski szwagier, Eryk z Lade, osobiście odwiedził świątobliwych braci.

Potęźny mężczyzna siedział teraz rozwalony na najlepszym krześle i pochłaniał ostrygi przyniesione przez brata Anzelma. Przez okno wpadała do izby woń przyływu, smród gnijących ryb i wyrzuconych na skały wodorostów. Wielebny Brendan z Corku pomyślał, że ten zapach trupiego rozkładu pasuje do jego gościa. Właściwie nie było w tym nic dziwnego – opat dobrze wiedział, że Eryk, nim z łaski króla Knuta został earlem* Northumbrii, był jednym z najbardziej krwawych i bezwzględnych łupieżców, jakich wydała uboga skandynawska ziemia. Brendan przypatrywał mu się uważnie swoimi łagodnymi oczami. Łokcie wsparł na dębowym stole, a zetknięte czubkami palców dłonie przytknął do ust w geście pokory i zadumy.

– Czy Jego Wysokość Knut nie ma w Londynie wystarczająco głębokiego lochu? – spytał wreszcie z wyrzutem. – Czym zasłużyliśmy sobie na ten niezwykle zaszczyt?

* Angielskie earl lub skandynawskie jarl – tytuł przysługujący królewskiemu namiestnikowi lub zarządcy prowincji, z czasem przekształcił się w tytuł arystokratyczny odpowiadający randze hrabiego. W tej książce Anglicy używają określenia „earl” wywodzącego się z wcześniejszego erldorman, natomiast wikingowie – „jarl”.

Eryk wyssał kolejną muszlę i oblizwał mięsiste wargi.

– Dobrze! – mlasnął. – Od razu czuć, że świeże! Dawno już takich nie jadłem... Może w czasach dzieciństwa? Ale małże z Trondheimsfjordu miały inny smak... Prawdę mówiąc, nie jeden raz po nich rzygałem! – beknął głośno, nie zwracając najmniejszej uwagi na swojego gospodarza.

Opat Brendan uśmiechnął się wyrozumiale. Barbarzyńca na zawsze pozostanie barbarzyńcą – pomyślał.

– Jak już mówiłem – ciągnął dalej Eryk – Knut nie życzy sobie jego obecności w Londynie. Jego Wysokość chce, żeby przemyślał pewne sprawy w odosobnieniu, liczy na to, że przy okazji rozwiąże mu się język... I że tego, co powie, nie usłyszy ktoś niepowołany!

– Król ma sposoby, żeby uczynić ludzi rozmownymi – zauważył ostrożnie Brendan z Corku.

Earl Northumbrii westchnął głośno, odłożył na bok pustą muszlę i nachylił się w jego stronę.

– To wszystko nie jest takie proste – mruknął. – Bjørn Stenskalle to nie byle kto, a ja wiem to najlepiej, bo nie raz stawaliśmy przeciwko sobie z mieczem w dłoni. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, jak zdołasz zatrzymać go na tej wyspie, ale taka jest wola króla.

– Ciężko stąd uciec... – pokręcił głową opat. – Podczas przyływu Lindisfarne jest całkowicie odcięta od świata, gdy morze cofa się, pozostawia po sobie zdradliwe mokradła. Nie jeden człowiek postradał na nich życie. Mało kto tutaj dociera, a poza nami na wyspie żyje jedynie kilku pasterzy i ich stada owiec.

– To znaczy, że król wybrał dobre miejsce na więzienie! – roześmiał się Eryk. – Zawsze wiedziałem, że bystry z niego chło-

pak! Bardziej wdał się w swojego wielkiego dziadka niż ojca, bo też, prawdę rzekłszy, Sven Widłobrody nie grzeszył rozumem. Knut zadbał nawet o to, żeby nikt wam nie przeszkadzał. Z jego rozkazu do wyspy nie ma prawa zbliżyć się żadna łódź!

– Jak mam to rozumieć?

– Szkocka granica jest blisko, a my nie chcemy, żeby ktoś wywiózł stąd więźnia. Ma siedzieć w absolutnej samotności i zapomnieniu... No, może niezupełnie. Masz zapisywać wszystko, co ten człowiek powie. Nawet gdyby snuł historie, które uznasz za zmyślane albo będące urojeniami szaleńca.

Opat zmarszczył brwi.

– Czy to będzie spowiedź? Obowiązuje mnie tajemnica...

– Nazwij to, jak chcesz – wzruszył ramionami Eryk z Lade.

– Ale wiedz, że jeśli król każe ci spisywać szum wiatru i śpiew fal, zrobisz to. – W twarzy Brendana musiał zobaczyć coś szczególnego, bo zaraz dodał: – Nie przejmuj się tym tak bardzo, ojczu. Z tego, co wiem, twój gość nie jest chrześcijaninem.

– Co takiego?! – Tym razem earlowi udało się naprawdę zaskoczyć opata.

– To, co słyszałeś. Długi Bjørn to zatwardziały poganin, jeden z tych, którzy wciąż kłaniają się starym bogom. Sądziłeś, że takich nie ma już na świecie?

– Och, nie, bynajmniej... – Brendan miał na końcu języka odpowiedź, że z tego, co mu wiadomo, sam Eryk ochrzcił się dopiero w dojrzałym wieku, a jego ojciec, norweski jarl Haakon, słynął z nienawiści do chrześcijan. Zwykł wiązać ich po kilku powrozami umaczanymi w smole, podpalać i strącać z wysokiego klifu w morskie odmęty. Nazywał to okrutne przedstawienie „płonącymi wieńcami Odyńa”. Jego nienawiść do chrześcijan była tak wielka, że podczas bitwy pod Hjørungavågr, aby

zapewnić sobie przychylność dawnych bogów, nie zawahał się złożyć im ofiary ze swego najmłodszego syna.

Tak, mógłby rzucić to w twarz earlowi... A potem pewnie powiększyłby grono męczenników za wiarę... Zamiast tego wstał od stołu i zaczął chodzić po izbie.

– Poganin w moim klasztorze... Nie, to niemożliwe! Ten człowiek gotów nas wymordować podczas snu! Jak zdołam go powstrzymać? Poza tym to jest poświęcone miejsce, nawet król Knut musi zrozumieć, że...

– Jeśli ci się uda, możesz go ochrzcić – rzucił niedbale Eryk z Lade. – Zostawiam ci czterech tęgich wojów, więc mogą przedtem ogłuszyć Bjørna pałką. Tylko muszą go naprawdę mocno uderzyć w głowę, nie bez powodu nosi przydomek Kamienna Czaszka! Sam chętnie bym na to popatrzył, ale jeszcze dziś odpływam do Londynu.

Opat chciał protestować, ale możnowładca nie dał mu dojść do słowa.

– Pozwól, że na koniec udzielę ci jeszcze jednej rady – powiedział z powagą. – Wiesz, że bywały i chrobry ze mnie człowiek. Niejedno w życiu widziałem i nie lękam się byle czego. Żebyś nie myślał, że rzucam słowa na wiatr, opowiem ci coś o sobie: wielki jarl Haakon nie kochał mojej matki, która była prostą kobietą z ludu, a że miał już wiele nieślubnych dzieci, gdy się narodziłem, oddał mnie na wychowanie obcym ludziom. Nie widziałem ojca przez dwanaście lat, a gdy znowu go ujrzałem, mimo młodego wieku byłem już silny jak tur i dobrze władałem toporem. Przypadkowo zacumowałem łódź tuż obok jego drakkaru*. Jakiś

* Drakkar – największa z łodzi wikingów (langskipów), okręt wojenny o sześćdziesięciu i więcej wiosłach. Drakkar króla Knuta Wielkiego miał sto dwadzieścia wiosel.

czas później do przystani w Agdanes* przyplłynął statek człowieka o imieniu Skopti, który był starym druhem Haakona. Naturalnie przybysz zażądał, abym opuścił nabrzeże...

Opat poruszył się niespokojnie. Doprawdy, miał co innego do roboty niż wysłuchiwanie wspomnień tego barbarzyńcy.

– ...tak więc Skopti nalegał, abym ustąpił mu miejsca, a ja wysłałem go do wszystkich diabłów – mówił dalej Eryk. – Ojciec bardzo się zdumiał i poczuł urażony. Nie było w zwyczaju, aby młody chłopak zachowywał się tak hardo, ale ja koniecznie chciałem mu coś udowodnić. Haakon wezwał mnie wówczas do siebie i zwymyślał w obecności swego przyjaciela. Krew uderzyła mi do głowy, myślałem, że nie wytrzymam tego upokorzenia, ale w końcu ustąpiłem... Następnej zimy doznałem snekkar** Skoptiego na pełnym morzu, wyrznąłem jego załogę, a z niego wypuściłem flaki, truchło wrzuciłem do morza i nakarmiłem nim ryby – Eryk powiedział to tak spokojnym głosem, że Brendan z Corku aż zadrżał.

– Po co mi to mówisz, panie? – spytał.

– Chcę, żebyś pojął, z kim masz do czynienia – odparł earl Northumbrii. – Bo musisz wiedzieć, że Długi Bjørn Stensalle jest jedynym człowiekiem, którego ja, Eryk Haakonsson, się lękam. Prawdę mówiąc, samego króla Knuta nie boję się tak jak jego. Radzę ci, bądź czujny, miej oczy i uszy szeroko otwarte, zupełnie jakby pod twoją opieką znajdował się nie człowiek, lecz dziki zwierz... Na przykład wielki niedźwiedź!

* Agdanes – port u ujścia Trondshejmsfiordu. Łodzie udające się do Lade Gård zazwyczaj tam kończyły swoją podróż z powodu trudnych warunków żeglugi w głębi fiordu.

** Snekkar, sneka – jedna z długich łodzi wikingów. Snekkar był podstawową jednostką posiadającą 30–40 wiosł.

Brendan z Corku spoglądał na oddalający się drakkar earla Eryka. Z wysokości klifu doskonale widział wygięte w łuk ludzkie grzbiety pochylone nad trzydziestoma parami wiosł. Na zaopatrzonym w stalowe ostrogi dziobie statku zamiast rzeźby przedstawiającej smoczy łeb tkwił mocno osadzony krzyż, a na maszcie powiewała flaga świętego Oswalda w żółte i czerwone pasy. Brendan skrzywił się z pogardą – wiedział przecież, że jeszcze podczas bitwy pod Svold obecny earl Northumbrii walczył z wizerunkiem fałszywego bożka Thora* umieszczonym na stewie**.

– Czyż nie dożyliśmy ciekawych czasów? – powiedział do stojącego obok niego Anzelma. – Do naszego opactwa przybył z wizytą człowiek, który wymordował setki chrześcijan, a tysiące sprzedał w niewolę... I oto dziś jest namiestnikiem pomazanego świętymi olejami króla, przypłynął pod znakiem krzyża i z łopocącym na wietrze proporcem bojownika o wiarę...

Mnich poczerwieniał.

– Pomyliłem się – wyznał ze wstydem. – Z daleka wydawało mi się, że to łódź wikingów...

– I miałeś rację, Anzelmie! – powiedział z ożywieniem opat. – Przecież Eryk z Lade to wilk w owczej skórce, lecz ty od razu go rozpoznałeś! Święty Cuthbert kierował twoimi krokami... – spojrzał na poobcierane stopy zakonnika i dodał: – W każdym razie niektórymi krokami.

– Co pocniemy z tym drugim barbarzyńcą? – spytał Anzelm. – Podobno to znaczny człowiek, może powinienem zaprosić go na adorację Najświętszego Sakramentu? Bracia zbiorą się w kaplicy godzinę przed nieszporem...

* Thor – jeden z bogów nordyckich z dynastii Azów. Władca burzy i piorunów, przedstawiany z młotem Mjólnirem w dłoni.

** Stewa – belka stalowa lub drewniana stanowiąca zakończenie dziobu lub rufy statku.

– Nie ma takiej potrzeby... – mruknął opat, a w duchu pomyślał, że najwyraźniej wśród jego podwładnych jeszcze nie rozeszła się wieść o pogaństwie więźnia. Był pewien, że gdy tylko zorientują się, jaka trafiła się im gratka, nie odstąpią od prób jego ochrzczenia. Obawiał się, że mogą z tego wyniknąć duże kłopoty. Odwrócił się więc do Anzelma i powiedział stanowczo: – Eryk z Lade, który z całą pewnością jest wilkiem w owczej skórce, twierdzi, że nasz podopieczny to prawdziwy niedźwiedź. I ja mu wierzę. Na razie niech więc przebywa w zamknięciu. Na szczęście earl pozostawił nam do ochrony czterech tęgich wojów, tak że nie powinniśmy się go obawiać.

– Teraz śpi – powiedział Anzelm. – Widziałem, jak ludzie Eryka wlekli go na ląd. Musieli go przedtem upić, bo zataczał się i wrzeszczał jakieś grubiańskie słowa. W życiu nie spotkałem podobnego olbrzyma! Nad każdym z nich górował o głowę, a przecież ci wikingowie to nie ułomki... – spojrzał znacząco na Brendana. – Teraz możemy spokojnie mu się przyjrzeć. Sprawdźmy, kogo gościmy pod naszym dachem!

– Skoro tego chcesz... – wzruszył ramionami opat.

Przeszli porośnięty chwastami wirydarz i znaleźli się w kwadratowej wieży. Przez niewielkie otwory w grubych na kilka stóp ścianach wpadały do wewnątrz wąskie smugi światła, wydobywając z mroku dziurawe, spiralnie skrócone schody. Anzelm pomyślał, że za żadne skarby nie wszedłby na nie po zmroku, chyba że z zapaloną smolną pochodnią w dłoni.

Gdy dotarli na szczyt wieży, mnich z trudnością oddychał. Ze zdumieniem spostrzegł, że Brendan z Corku nie wygląda na zmęczonego. Oto człowiek, którego nie wolno lekceważyć – pomyślał Anzelm.

Stali teraz przed ciężkimi dębowymi drzwiami, jedynymi w całym klasztorze, które można było zamknąć od zewnątrz.

Widok belki tkwiącej w stalowym skoblu sprawił, że Anzelm poczuł się nieco raźniej. Ostrożnie uchylił małe okienko na wysokości swojej głowy i zajrzał do środka.

Na drewnianej pryczy spoczywał ogromny mężczyzna. Przedramieniem zakrywał twarz tak, że widać było jedynie grzywę siwych włosów i długą skołtunioną brodę. Druga ręka zwisała bezwładnie tuż obok glinianego dzbana. Z otwartych ust dobywało się głośnie chrapanie.

– Śpi jak niemowlę... – szepnął Anzelm. – Ludzie Eryka dali mu dużo mocnego piwa... Pewnie dlatego jest taki spokojny...

– Odsuń się – powiedział ostrzegawczo Brendan.

– Dlaczego? Co on może... – Anzelm nie dokończył zdania, bo ręka wikinga poruszyła się błyskawicznie jak atakujący wąż. Gliniany dzban z hukiem roztrzaskał się o cal od głowy mnicha, zalewając go spienionym piwem.

– Idźcie... obaj... precz... – rozległ się bełkotliwy pijacki głos.

– Nie gapcie się na mnie jak na dzikiego zwierza w klatce...